NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 197·60 Marek, Półrocznie 395·20 Mk. Rocznie 790·40 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 5 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 8·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 10 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 20 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 16 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 2. kwietnia 1921. Nr. 14.

Na obsadzonem przez Koalicyę terytoryum...



Rozbrajanie policyi niemieckiej w Düsseldorfie przez wojska Koalicyi.



Uroczystość Imienin Naczelnika Państwa: Msza polowa przed pałacem księcia Józefa Poniatowskiego w Jabłonnie, miejscu postoju III. Armii.

Od Wydawnictwa.

Nasza nowa powieść.

'o ukończeniu „Gorączki złota“, która takie za-
osowanie obudziła w szerokich kołach naszych
. Czytelników, przystępujemy już w najbliż-
numerze „Nowości illustrowanych“
ruku nowej, oryginalnej na tle współczesnych
unków osnutej powieści p. t.

Krwawe dziedzictwo“.

Vyszła ona wprawdzie z pod pióra siły jesz-
młodej, kryjącej się pod pseudonimem
Czeremosz, wykazuje jednak tyle za-
rokujących Autorowi świetną przyszłość na
polu piśmiennictwa, iż postanowiliśmy właśnie
ybrać z pomiędzy kilkunastu, znajdujących się
szej tece, między któremi nie brak i opatrzo-
nazwiskami autorów, którzy już zdobyli so-
ycerskie ostrogi na polu belletrystycznego pi
nnictwa. Przyczyniła się do tego nadto i chęć
szczenia autora do wejścia w szranki, w któ-
i on pragnie ubiegać się o wieniec sławy.
nteresująca treść, żywa akcya, naturalność, głę-
znajomość duszy ludzkiej i współczesnych sto-
ów, oto zalety naszej powieści, odznaczającej
onadto czystym i poprawnym językiem.
esteśmy przekonani, że czytająca P. T. Pu-
ność zainteresuje się żywo naszą nową powie-
zasługuje bowiem na to pod każdym względem.



Uroczystość Imienin Naczelnika Państwa: Dowódca III. Armii jen. Sikorski przemawia do dekorowanych w dniu 19 marca b. r. oficerów i żołnierzy.

Na obsadzonem przez Koalicyę terytoryum.

(Do ilustracyi tytułowej).

Obsadzenie terytoryów niemieckich przez wojska francuskie i belgijskie, jako następstwo niespełnienia przez rząd berliński traktatu wersalskiego, odbyło się w zupełnym spokoju. Pomiędzy terenami obsadzonemi przez Koalicyę, a resztą Niemiec, zaprowadzono granicę celną.

Do Düsseldorfu wkroczyły wojska koalicyjne pod dowództwem jenerała Gaucher, obsadzając przedewszystkiem dworzec kolejowy i ważniejsze punkty. Główną kwaterę obrał sobie komendant francuski Gaucher w Park hotelu.

W pierwszej chwili rozbrojono niemiecką policyę, w niedługim przecież czasie zwrócono jej broń i powierzono pełnienie służby bezpieczeństwa w dalszym ciągu. Stało się to po złożeniu przez jej komendę przyrzeczenia, iż ściśle zastosuje się do poleceń, wydanych przez okupantów.

Jenerał Gaucher wydał do ludności miejscowej proklamacyę wzywającą do spokoju. Odniosła ona pożądany skutek. Ludność na całym zajętym obszarze nie okazuje wojskom koalicyjnym wyraźnej niechęci, w publicznych koncertach muzyk wojskowych francuskich na placach Düsseldorfu biorą udział tłumy Niemców, którzy widocznie pogodzili się ze swym losem.

Uroczystość Imienin Naczelnika Państwa.

W piękny słoneczny dzień, święciła uroczystość Imienin Naczelnego Wodza III. Armia. Pałac bohatera ks. Józefa Poniatowskiego w Jabłonnie udekorowano bogato zielenią, a w drzwiach wchodowych ustawiono ołtarz polowy.

Wczesnym rankiem ulicami, ze snu budzącego się miasteczka przeciągały z muzyką oddziały wojska, kierując się ku murom pałacowym, gdzie odbyć się miała msza polowa.

Tłumy ludności zaległy cały plac przed pałacem, wojska ustawiły się w czworobok, pośrodku którego stanął sztab III. Armii. Jen. Sikorski przybywał. Przeszedłszy przed frontem zgromadzonych wojsk, jenerał zbliżył się do ołtarza. Po chwili ostry ton dzwonka i ciche melodyjne tony orkiestry wojskowej dały znać, iż rozpoczęła się msza.

Po mszy świętej nastąpiła dekoracya krzyżami walecznych odznaczonych oficerów i żołnierzy III. Armii. Stają obok siebie w szeregu szef sztabu III. Armii płk. Zając, szef sanitarny dztwa III. Armii ppłk. Kwaśniewski, Kpt. Tobik, szef odds. V., kpt. Putek i plut. Kościuszko.

Wojska prezentują broń, a jenerał przypina odznaczonym na piersiach krzyże zasługi. Poczem przemawia do zgromadzonych żołnierzy i ludności, wzywając ich, by dziś, gdy wojna się skończyła z równym zapałem wzięli się do pracy i to, co oręż polski zdobył, na wieki pracą utrwalili, kończąc okrzykiem na cześć Naczelnego Wodza.

Następuje defilada. Wśród tonów dźwięcznego marsza orkiestry wojskowej idą po raz ostatni przed swym jenerałem „ostatni Mohikanie“ III. Armii. Idą przed swym wodzem żołnierze, których prowadził on tyle razy do zwycięstw, a z którym im w krótkim czasie przyjdzie się i pożegnać. Jenerał Sikorski zajmuje wkrótce stanowisko wice ministra spraw wojskowych, a żołnierz III. Armii powróci do swych ognisk domowych, by oręż na lemiesz zamienić.



Uroczystość Imienin Naczelnika Państwa: Jeneralicya i korpus oficerski wraz z gośćmi w dniu 19 marca b. r. w Jabłonnie.

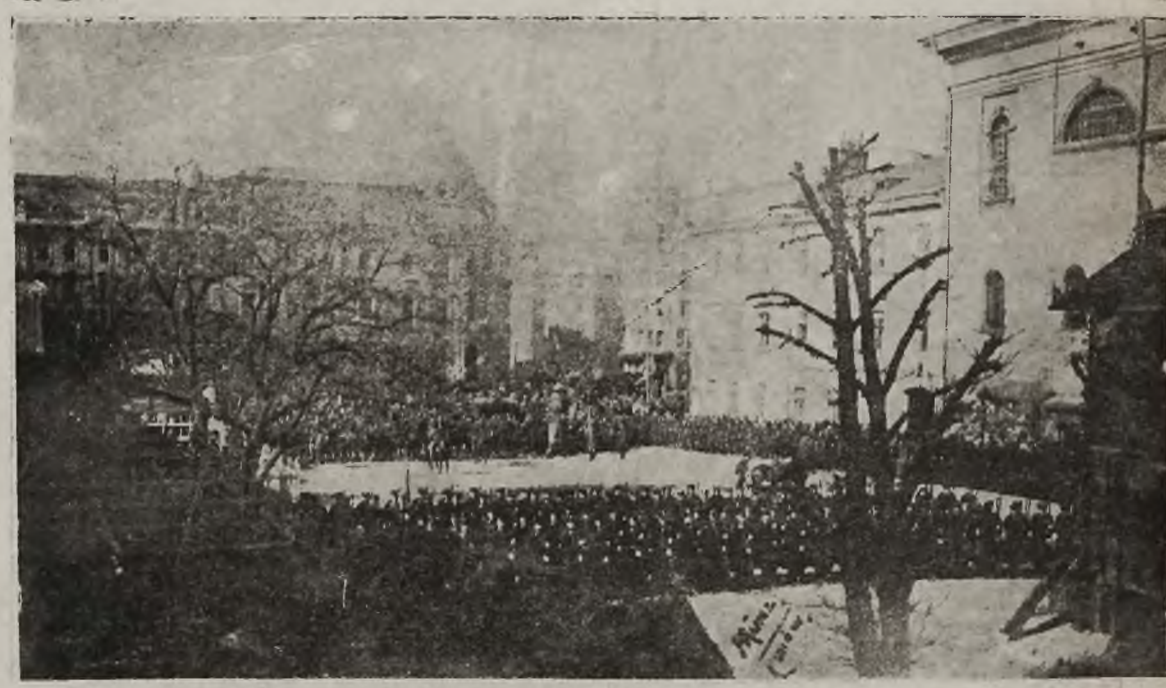
Po defiladzie odbył się w kasynie oficerskiem uroczysty obiad, w czasie którego przemawiał jeszcze raz do swych oficerów i zgromadzonych gości jenerał Sikorski. W poszczególnych oddziałach zaś stacyonowanych w Jabłonnie, odbyły się odczyty i pogadanki.

W miłej i serdecznej atmosferze przepędzony dzień Imienin Naczelnego Wodza długo pozostanie w pamięci uczestników.

Dzień Imienin Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego, święcił również Lwów bardzo uroczyście.

W przeddzień wieczorem kilka orkiestr wojskowych i silne oddziały żołnierzy przeciągały ulicami miasta, w śródmieściu gromadziły się tłumy ludzi, biorąc udział w manifestacyi wojska. Dźwięki orkiestr zamilkły późnym wieczorem.

W dniu 19 marca rano orkiestry znów odegrały pobudkę, w jasnych promieniach słońca odbijały się barwne chorągwie, powiewające z budynków rządowych, instytucyi i domów prywatnych. We wszystkich kościołach i świątyniach odprawiano już wczesnym rankiem nabożeństwa, w których wzięli udział: młodzież szkolna i liczna publiczność. O godzinie 10. rano w kościele archikatedralnym ks. Infułat Czajkowski otoczony duchowieństwem, odprawił uroczystą mszę św. Przed głównym ołtarzem zgromadzili się przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych. Jeneralny Delegat Rządu dr Gałecki



Uroczystość Imienin Naczelnika Państwa: Wojsko podczas uroczystego nabożeństwa w dniu 19 marca b. r. w Archikatedrze lwowskiej.



Uroczystość Imienin Naczelnika Państwa: Jenerał Lamezan w otoczeniu korpusu oficerskiego i gości podczas defilady po nabożeństwie na intencyę Naczelnika Państwa, odprawionem w kościele archikatedralnym we Lwowie.

zjawił się w otoczeniu szefów wszystkich władz wojskowych i cywilnych, jen. Lemezan z bardzo licznym zastępem oficerów, dalej dowódca armii jen. Stanisław Haller z oficerami sztabu, zarząd gminy miasta Lwowa z prezydentem Neumanem. Osobną grupę stanowili reprezentanci misyi zagranicznych: francuskiej, angielskiej i amerykańskiej i konsul angielski p. Wheitead. Główną nawę wypełnili dalej: Rada miejska, Uniwersytet, powstańcy 1863 r., Izba handlowa i przemysłowa, oraz przedstawiciele organizacyi naukowych, społecznych i kulturalnych. Resztę świątyni aż po brzegi wypełnili oficerowie i bardzo liczna publiczność.

Po skończonem nabożeństwie kapłan zaintonował od ołtarza pieśń „Boże coś Polskę". Zebrani podjęli słowa pieśni, z piersi tysięcy płynęła modlitwa pod stropy świątyni. O godzinie 11·30 odbyła się na placu Maryackim (przed pomnikiem Mickiewicza) defilada wojska, załogującego we Lwowie. Defiladę odebrał jen. Lamezan w otoczeniu jenerałów, szefów sztabu i oficerów. Obok jenerała Lamezana zajął miejsce reprezentant Rządu Jen. Delegat dr Gałecki, przedstawiciele mocarstw sprzymierzonych, reprezentanci władz i t. d. Zgromadziły się też tłumy publiczności, biorąc udział w uroczystości. Gdy dowódca miasta i placu pułk. Jasiński zameldował, że rozpoczyna się defilada, przemaszerowały wyciągnięte w długie szeregi zastępy żołnierzy; przeszła piechota, artylerya i kawalerya i policya państwowa. Postawa żołnierzy uczyniła na widzach jak najlepsze wrażenie.

Wiece górnośląskie w Zagłębiu borysławskiem.

W poniedziałek 14. marca br. odbył się olbrzymi wiec w Borysławiu, zainicyowany przez Związek Strzelecki i tamtejszy Komitet plebiscytowy. Punktualnie o 2 giej popołudniu syreny fabryczne przypomniały godzinę wiecową. Warsztaty stanęły. Tysiączne tłumy robociarzy ciągnęły na pole wspólnej myśli i twardego protestu.

P. Oktawiec zaczyna. Jednogłośnie obrano przewodniczącym wiecu, na zastępców powoł p. Matkowskiego i p. Delimata.

Z mowców pierwszy przemawiał inżynier Kob uzasadniając jasno i dobitnie naszą postawę na v padek perfidnie przeprowadzonego głosowania. znaczył on dobitnie, iż całe Zagłębie borysławs tustanowickie użyje wszelkich środków nawet bardziej gwałtownych w razie niepomyślnego a w temsamem oszukańczego wyniku, a to z racyi, wszelkie nawet wrogie nam dane statystyczne, twierdzą absolutną większość tamtejszej polsl ludności. Dalej, iż o żadnych podziałach tej Ziem słyszeć nie chcemy. Była, jest i musi być Pols

Następnie przemówił ks. Chlebiński, skład oświadczenie imieniem duchowieństwa polskiego. kończył, iż na wypadek przefrymarczenia Górne Śląska, z bronią w ręku lud polski upomni si swoje prawa.

Po nim zabrał głos p. Przewłocki, który w rących słowach przypomniał, iż robotnik polski, który tyle krwi wytoczył i tyle bólu i poniewie zwycięsko przetrzymał i tym razem nie opuści s twardej prawicy, dopóki nasze słuszne żądania znajdą zadośćuczynienia, a nasi towarzysze śl nie splotą się raz na zawsze w bratnim uści z nami.

Oświadczenia zakończył dyr. Gerstman imieni nauczycielstwa i szkolnictwa polskiego, podnos ku otrzeźwieniu wrogów, iż młodzież polska, która już im niejednokrotnie dała się we znaki i te pilnie czuwa!

Wreszcie zabrał powtórnie głos prezes Oktaw stwierdzając w krótkich a ciętych słowach niezmier postawę i solidarność myśli tutejszego społecz



Wiece górnośląskie w Zagłębiu borysławskiem: Tłumy wiecującej publiczności na Rynku drohobyckim w dniu 13 marca b. r.



Wiece górnośląskie w Zagłębiu borysławskiem · Okoliczne włościaństwo zbierające się na wiec w Medynicach w dniu 13 marca b. r.

stwa. Zakończył wiec okrzykiem na cześć męczeńskiej Ziemi Górnośląskiej i wezwaniem pozostałych Ślązaków do zgłaszania się w gminie celem wysłania ich przy pomocy funduszów tutejszego Związku Strzeleckiego do Komitetu Obrony Kresów Zachodnich w Krakowie.

Również z inicyatywy Związku Strzeleckiego zawiązał się w Drohobyczu ogólny wiecowy Komitet górnośląski, obejmujący wszystkie stronnictwa, wszystkie klasy społeczne i narodowe z wyjątkiem Rusinów.

Wspomniany Komitet zwołał publiczny wiec w niedzielę 13 marca b. r. pod gołem niebem, na Rynku drohobyckim.

Wiec zagaił w imieniu Komitetu wiecowego burmistrz miasta P. Balicki.

Do prezydyum wybrano p. Balickiego, p. Melnarowicza i p. Parnasa. Sekretarzowali pp. Piliński i Januszewski.

Następnie cały szereg mowców referował sprawę górnośląską. I tak: p. Joszt z ramienia Związku ludowo narodowego przedstawił krótki rys dziejów Śląska, jego zasoby naturalne i znaczenie tegoż dla Polski, p. Dworski, kom. obw. Związku Strzeleckiego, nawoływał młodzież tutejszą do pogotowia bojowego, gdyby trzeba ziemię tę orężem wydzierać Niemcom, p. Dr. Adolf Reiter w imieniu Polaków mojżeszowego wyznania, nawoływał współwyznawców do ofiar na rzecz plebiscytu, p. Dr. Abraham Backenroth w imieniu syonistów zaznaczył, że stronnictwo jego solidaryzuje się z walką polskiego narodu o Górny Śląsk, a to ze względu sprawiedliwości, gdyż jest to ziemia w większości zamieszkiwana przez lud polski.

Ostatni mowca p. Daniasiewicz, przedstawił perfidyę Niemców i dyplomacyi wogóle, zapewniając, że robotnik polski nieopuści swego współtowarzysza na Śląsku Górnym. Ostatni mowca odczytał też wnioski analogiczne jak na wiecu lwowskim, które zebrani uchwalili przez aklamacyę.

Odśpiewaniem „Roty“ zakończono wiec.

Dawno Drohobycz nie był widownią tak olbrzymiej i wspaniałej manifestacyi, która nie tylko liczbą, ale solidarnością i zgodą ogólną wywarła głębokie wrażenie na mieszkańcach, dlatego też i pieśń „Nie damy ziemi“ tym razem wyglądała naprawdę na szczere ślubowanie narodu, że Śląska sobie wydrzeć nie pozwoli, chociażby musiał i orężem poprzeć swe niezaprzeczone nawet przez Niemców prawa do tej ziemi.

W tym samym dniu popołudniu o godzinie 5 odbył się analogiczny wiec w Medenicach ad Drohobycz. Zebranych było około 5000 włościan wraz z inteligencyą miejscową. Wiec zagaił włościanin Michał Pierog. Przewodniczył p. Rostafiński. Referat o Górnym Śląsku wygłosił p. Melnarowicz. Rezolucye odczytane przez p. Dworskiego, uchwalono przez aklamacyę.

Liczny udział w wiecu włościan świadczy, że i ta warstwa społeczeństwa we Wschodniej Małopolsce, nie biorąca dotychczas prawie wcale udziału w życiu narodowem, garnie się dziś z zapałem. Smutnym objawem jest jednak, że dzisiejsza inteligecya prawie całkowicie zapomniała o swej roli kulturalnej w narodzie tak dalece, że włościanie skarżą się, iż nikt do nich nie przyjeżdża z referatami.



Wiece górnośląskie w Zagłębiu borysławskiem · Masowy wiec w Borysławiu w dniu 11 marca b. r.



Oficerski zespół artystyczny: Członkowie zespołu — od lewej ku prawej pp.: Nowotarski (baryton), p. Cichoniowa (akompaniatorka), Cichoń (tenor), Skawiński (baryton), Michalski (bas).

Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

Nadesłane.

DR TADEUSZ KANNEBERG.

To straszne!

— Na dziś już dosyć pracy! Zostajesz?
— Zostaję, zostaję!
— Cóż tak nerwowo? Doprawdy nie poznaję cię.
— Ha! trudno.
I młody dr Peski został sam w szpitalnej pracowni.
— Antoni? Przyprowadź następnego pacyenta!
— Już noc, panie doktorze.
— Nie do ciebie należy, zawołaj!
W ciągu dwuletniej pracy w szpitalu, zroentgenował kilka tysięcy chorych. Pracował coraz intenzywniej, często po nocach.
Od kilku tygodni coś się z nim działo niesamowitego. Musi z całą bezwzględnością dojść do przyczyn. Strach go ogarnia, bo gdyby... to straszne! A jednak?
Antoni przyprowadził pacyenta.
Peski zgasił światło, zawarł okiennice, zamknął drzwi, poczem umieścił chorego. Następnie zbadał czy wszystko należycie funkcyonuje.
Nagle silnie zapukano do drzwi.
— Nie przeszkadzać tam.
— Panie doktorze! światło zgasło.
— Głupiś! — krzyknął Peski i zabrał się do dalszej pracy.
— Proszę teraz stać spokojnie i równo oddychać. Puszczam prąd.
Chwila ciszy.
— Cóż u djaska — Krzyknął Peski — nic nie widzę. Proszę stać spokojnie.
Przypomniał sobie, że Antoni wołał: światło zgasło. Zatem prąd musi być przerwany. Nie wierzył jednak — przed chwilą wszystko zbadał należycie. Wytężył wzrok. Po chwili słabe kontury zaczęły się rysować na ekranie. Otarł pot z czoła. Więc wszystko w porządku.
— Proszę ześć, skończyłem. Antoni światło!
— Mówiłem, że nie ma. Prąd przerwany.
— Głupiś — właśnie skończyłem badać. Roentgen funkcyonował jak zawsze.
— Skądże prąd?
— Nie, nie! Porwał się Peski z krzesła. To byłoby straszne!
— Antoni proszę zawołać następnego.
— A prąd?
— Zawołać, powiedziałem.
Zapalił machinalnie papierosa, lecz po chwili odrzucił go nerwowo.
Wszedł chory.
— Proszę się rozebrać.
Głos mu drżał. Badając prąd, przytknął drucik do kontaktu. Nic. Więc rzeczywiście prądu nie było.
— Przerwane. Nie schodź pan — krzyknął półobłędnie, ściskając chorego za rękę, tak, że ten krzyknął.
— Nie krzycz pan...
Sam cofnął się dwa kroki wstecz poza chorego, wydłużył swą postać, jakby się miał nań rzucić i wytężając wzrok, utkwił oczy w obnażone ciało pacyenta. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Po chwili na tablicy ujrzał wyraźne kontury.
Stracił przytomność i padł na krzesło.
To było straszne!

— — — — — — — — — — — — —

— Panie dyrektorze zgłaszam dymisyę.
— Nie rozumiem pana kolegi?
— Nie mogę dłużej pracować w szpitalu... jestem chory... na nerwy...
— Nigdy się pan nie skarżył.
— Właśnie. Ale teraz potrzebuję wypoczynku i to bezwzględnego.

— — — — — — — — — — — — —

— Wyszedł na ulicę. Pierwszą jego myślą było pójść do okulisty. Zaniechał jednak tego. Wzrok miał wyśmienity. Gdyby mu zaś opowiedział swą historyę z Roentgenem, wyśmiałby go, uważając za waryata. Pozostał jedyny krok do zrobienia, to jest zbadać powtórnie ostatnich dwóch chorych. Jeśli Roentgen wykaże inne linie, to wszystko dobrze, gdyby jednak linie okazały się te same, wówczas... to byłoby straszne.

Postanowił nie ryzykować i żyć raczej w niepewności. Kupił czarne okulary i wyjechał nad morze.

— — — — — — — — — — — — —

Dr Peski już dwa miesiące bawił na półwyspie Heli, zamieszkując odosobniony domek za wsią kaszubską.
Było mu dobrze. Największą przyjemność sprawiały mu spacery. Chodził nad brzeg morski, wyciągał się na piasku lub kąpał przy słońcu. Nerwy się uspokoiły i młody organizm wracał do pełni swych sił. Dziś już z całą stanowczością osądził epizod w szpitalu jako wynik chorobliwego stanu psychicznego i złudzenia wzrokowego.
Jednego razu, idąc jak zwykle głębokim, żółtym piaskiem nad brzeg, ujrzał, że ktoś się kąpie. Zdziwienie jego było tem większe, że z tej strony nikt nigdy się nie kąpał. Plaża bowiem urządzona była opodal przystani.
Po chwiejących się na morzu czepeczkach poznał dwie kobiety.
— Zepsuły mi spacer — mruknął i wolno zawrócił z drogi.
Wtem doleciał go przenikliwy głos kobiecy o ratunek. Odruchowo biegnąc ku morzu, zrzucał z siebie po drodze części ubrania. Jedna z kobiet tonęła, druga stała po kolana w wodzie i krzyczała w niebogłosy. Rzucił się w wodę, podpłynął kilka metrów w głąb, zanurzył, chwycił tonącą, zawrócił i po kilku chwilach dotknąwszy gruntu, stanął. Woda łagodnemi falami sięgała mu wyżej pasa. Wziął kobietę na ręce i szedł ku brzegowi. Tymczasem druga uciekła. Zobaczył ją na piasku o kilkadziesiąt metrów, ubierającą się spiesznie.
Teraz dopiero spojrzał na swój ciężar. Była to młoda, pięknie zbudowana brunetka. W zachodzącem słońcu ciało jej złotem się lśniło. Kobieta wolno otwierała oczy, poczem w sekundzie jak sprężyna wyskoczyła mu z rąk i uciekła do towarzyszki. Widocznem było, że wszyscy troje porządnie się zawstydzili, bo i Peski szybko pobiegł się ubierać.
Peski, doznawszy tak miłego wrażenia, nie chciał stracić chwili, więc ubrał się i podążył za piaszczysty pagórek, gdzie niedoszła topielica i wrzaskliwa niewiasta urządziły sobie przygodną toaletę.
Po wzajemnem przedstawieniu, nastąpiły serdeczne podziękowania i radosne śmiechy.
— Gdyby nie pan, byłabym utonęła w zwykłym dole pod wodą.
— Tu są wyrwy piaszczyste. To mój codzienny spacer od dwu miesięcy.
— Pan sam?
— Tak, a panie?
— My z mamą na lato w Sopotach.
— Odprowadzę panie do przystani.
— Nietylko... Muszę koniecznie mamie przedstawić mego wybawiciela, więc proszę do Sopot.
— Dziękuję. Poprowadzę panie samym brzegiem tuż nad wodą popod piaszczyste pagórki. Piękny stąd widok fal.
— Chodźmy.
— Cudem uniknęłam śmierci. Ze mną wszyscy muszą mieć zawsze kłopot.
— Dlaczegóż to?
— Gdy byłam podlotkiem, wywróżyła mi cyganka, że umrę przez męża.
— Niemądra fantazja starej cyganki.
— Tak, ale mama przez to nie chce mi pozwolić wyjść za mąż.
— Jeszcze dość czasu.
— No, niebardzo. Potem znowu mama miała sen. W szklanej karecie jechała nieboszczka babcia i przez szybę kiwała palcem na mamę, wskazując na mnie, że mi zostawiła miejsce obok.
— Nie żartuj! O! lepiej pomyśl, jak powiedzieć mamie o dzisiejszym wypadku?
— Nie mówmy nic!
— Naturalnie, tak będzie najlepiej!
— Tak, ale wówczas...
— Co wówczas?
— Pan nie zechce nas odwiedzić.
— Owszem — od dziś za tydzień.
— Cóż za termin?
— Mam w tem pewne wyrachowanie...
— Aż tak dalece?
— O ile urok pani minie w ciągu tygodnia, to nie zobaczymy się wcale.
— W przeciwnym zaś razie?
— Odwiedzę panie za tydzień.

— — — — — — — — — — — — —

Długo stał Peski nad wybrzeżem, patrząc za odpływającemi. Statek na horyzoncie zniknął, a Peski uczuł pustkę. Spotkanie nad brzegiem wytrąciło go z równowagi. Hela wydawała mu się beznadziejnie monotonną. Nic, tylko piasek — pagórki z piasku — sosny i woda. Morze straciło na uroku, mewy na wdzięku. Jedyna rozrywka, to coraz częstsze rozpamiętywanie tych kilku chwil z nią spędzonych.
— Może to i lepiej — myślał Peski. Zacznę nowe życie. Należy mi się. Panna miła, piękna, dobrze ułożona. Niezależna, skoro są na lato w Sopotach.
— Jadę — wykrzyknął.

— — — — — — — — — — — — —

— Ach, mamo, żebyś ty wiedziała, jaki on miły, dobrze ułożony i niezależny, skoro może tyle czasu spędzać na Heli. Dziś mija tydzień od naszego spotkania.
— Jak ci jest przeznaczony, to przyjedzie.
— Ach, mamo, mamo!
— Widzisz, jakaś zdenerwowana. Od kilku dni nie możesz sobie miejsca znaleźć.
— Ależ, bo w tych Sopotach nudno. Nietylko deptak i woda, ale tłumy i muzyka. Idę na „steg".

— — — — — — — — — — — — —

Przy końcu „stegu" zbiegła po kilku stopniach na dolny pomost i nad samą wodą usiadła na ławeczce.
Czeka.
Na pasku, który woda na dalekiem niebie znaczy, spostrzegła cieniutką wstążeczkę pionową. To dym z komina. W dobrą chwilę zobaczyła komin, potem niższe części statku — wreszcie w miniaturze cały okręt. Serduszko zaczęło bić silniej.
— Przyjedzie — nie przyjedzie?

— — — — — — — — — — — — —

Przyjechał. Owoc był dojrzały. Oświadczył się i został przyjęty. Uważał się za najszczęśliwszego z ludzi. Pozostał chwilę sam na werandzie. Zachodzące słońce rzucało swe złote długie promienie, poprzez otwarte okno pokoju i poprzez drzwi, aż na koniec werandy, gdzie siedział, zapatrzony w czerwień słoneczną.
Narzeczona stanęła w drzwiach, opierając się figlarnie o odrzwia.
Nagle Peski zerwał się z ławki i bez pożegnania wybiegł jak szalony, dłońmi przykrywając sobie oczy.

— — — — — — — — — — — — —

Na drugi dzień posłaniec przyniósł list zrozpaczonym kobietom. Pisał Peski.
„Prześladuje mnie straszny los. Moje oczy widzą, czego nikt nie dojrzy. Przeniknąłem postać pani w promieniu zachodzącego słońca i zaklinam na wszystko, co ci jest świętem, nie wychodź nigdy za mąż".

— — — — — — — — — — — — —

To było straszne. —



MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

I.

Ucięta ręka, ta ręka którą kocham, którą uwielbiam, jest ciągle u mnie, chronię ją tak zazdrośnie, że chyba ze śmiercią moją, ktoś wydrzeć mi ją zdoła. Ale jestem obecnie człowiekiem zniszczonym, zgubionym i przyczyną tego jest „ten człowiek". — Czy mam się przed Tobą tłómaczyć, mój przyjacielu, że nigdy w głowie mojej nie powstała myśl zamordowania Lambertini'ego, że nie kochałem tej kobiety i że nie zaszła żadna sprzeczka pomiędzy mną a moim przyjacielem? Ty nigdy nie wierzyłeś w moją winę. Przybiegłeś natychmiast do więzienia, lecz nie wpuszczono Cię do mnie. Powróciłeś raz jeszcze. W dniu tym, otrzymałem właśnie prowizoryczne zwolnienie i wyjechałem do Milanu, zkąd piszę dziś, do Ciebie, z mojego starego domostwa pełnego portretów przodków, którzy zdają się patrzeć na mnie z litością i współczuciem. Ale żaden z nich, o ile mi się zdaje, nie znalazł nigdy w podróży, pięknej, kobiecej ręki pokrytej klejnotami, łudzącej pozorami życie pomimo swojej martwoty. Takie rzeczy nie zdarzały się w dawnych czasach. — Są to nabytki XX. wieku!

Nie zabiłem, nie zraniłem, nie uczyniłem nic złego, mój przyjacielu, ale krąży wokoło mnie jakaś okrutna fatalność, od dnia mojego odkrycia uczynionego w hotelu Rzymie. „Ten człowiek" mnie nienawidzi, prześladuje mnie, dlatego, że ręka ta jest moją własnością, że nie chcę jej mu zwrócić, że ją kocham, że jestem przekonany, iż należy do żyjącej jeszcze osoby, że ją szukam i znajdę — — — a zdaje mi się, że ją już spotkałem. Jestem zgubiony i zniszczony, bo wszelkie dowody są przeciw mnie — nawet, jak mówią — zeznanie hrabiny Loredano. Może nigdy nie będę mógł przekonać sędziów o swojej niewinności! Plan tego człowieka tak świetnie zorganizowany i przeprowadzony został, żem omotany nim jak siatką, którą zerwać jest ponad moje siły. Wszystkie oczka tej siatki wyrobione są z taką precyzyą i zaciśnięte tak mocno, że naprawdę, pytam siebie czy to sen czy jawa, czy w śnie lunatycznym przypadkiem naprawdę nie usiłowałem zamordować Lambertini'ego? Czy zdołam jednak przekonać sędziów?!

Człowiek ten straszny pracował nad moją zgubą i doprowadził do swojego celu. Na razie wygrana jest po jego stronie i może pozostanie tak, o ile cud jaki nie przybędzie mi z pomocą. Honor mój tymczasem został zbezczeszczony! Gdyżym jak mówię, za sprawą cudu jakiego został uniewinniony, nie będzie mi dozwolonem zrehabilitować się wobec rodziny mojej i życie moje nie będzie już tem, czem dotąd było. Bo pomimo mojego uniewinnienia mówić zawsze będą:

— „Robert Allmena, ten, który posądzony został o morderstwo?

— Tak, ten sam; to była nieładna sprawa.

— Ale „podobno" on jest niewinny?

— Niektórzy tak twierdzą, ale nikt prawdy nie wie". —

Tak będą mówić ludzie najżyczliwsi mi. — Ale niech się dzieje co chce! Stało się! Grałem i przegrałem partyę. Jednakże ręka tej kobiety jest moją własnością. On jej mnie nie odebrał jeszcze! A pozatem jestem wolny. Jestem bogaty, a jeżeli zdołam przedostać się poza granice państwa, władze pozostawią mnie w spokoju.

Powiesz może mój przyjacielu, że zeznanie Lambertini'ego zdołałoby mnie uratować zupełnie? Tak, to prawda. Ale w czasie, kiedy przeprowadzano pierwsze śledztwo w tej sprawie, on leżał między życiem a śmiercią. — Uderzenie sztyletem, które otrzymał, było bardzo silne i jedno płuco zostało poważnie zaatakowane. A czy wiesz, gdzie on się wówczas znajdował? U pięknej hrabiny Loredano, u tej tajemniczej kobiety, która zdaje mi się była wspólniczką owego przeklętego garbusa. Ranieri został ugodzony przed drzwiami jej mieszkania i tam upadł zemdlony. Niepodobna było przenieść go gdzieindziej.

Spostrzegam w tej chwili, że nie opowiedziałem Ci szczegółowo przebiegu zbrodni. Miałem wyjeżdżać do Milanu, jak sobie może przypominasz. Tam to, odnaleść miałem „uciętą rękę", którą poprzednio, w tajemnicy wysłałem. Jednakże w przedostatnim dniu ogarnęło mną silne wahanie. Przejeżdżaliśmy z Ranierim przez Corso powozem w towarzystwie miłej kobiety z półświata, kiedy niespodziewanie ujrzałem garbusa, również w powozie. Obok niego siedziała całkiem biało ubrana kobieta. Zaczęliśmy go ścigać aż do bramy Pia, potem dalej jeszcze, wśród nocy, po drodze pustej, ciemnej i niebezpiecznej... i straciliśmy go z oczu. Ale posłuchaj mnie dalej mój przyjacielu. Kobieta, która to warzyszyła garbusowi w pewnej chwili rzuciła mi kwiat i kiedy podniosła i płaszcz jej się rozchylił — spostrzegłem, że miała jedną rękę uciętą! Wierz mi, że to nie było złudzenie. Ujrzałem to z całą dokładnością! Tak, to nie była halucynacya, podniecenie wyobraźni!... Ta kobieta istnieje, ta kobieta żyje! spotkałem ją, ścigałem ją powozem, ona spojrzała na mnie i uśmiechała się! Ta kobieta to „ona", ta, której tak gorąco poszukuję, ta, na której dopuszczono się ohydnej potwornej zbrodni. Nie jest ona bardzo młodą, jednakże posiadała nieprzezwyciężony urok! Oh! gdybyś ją widział mój przyjacielu! Gdybyś widział ten obłąkany, wylękniony, szalony wyraz jej wielkich oczu! Ona jest widmem, a równocześnie, pociągającą, żyjącą istotą i pójdę jej szukać, choćby na kraj świata, bo kocham ją, tak, jak kocham jej piękną, uciętą rękę! Otóż po tej denerwującej, bezcelowej gonitwie ogarnął mnie i Ranieri'ego dziwny stan niepokoju i zmięszania. Przyjaciel mój nawet zdawał się być jeszcze bardziej wzruszonym odemnie, bo i w jego życie wplątała się nieszczęśliwa miłość, pełna niebezpieczeństw i przeciwności. I nie wiem dlaczego i jak się to stało, że obydwaj, jednozgodnie zrozumieliśmy, iż ten sam człowiek, ten garbus, godził z ukrycia na nasz spokój i pragnął naszej śmierci. Jego i mojej! Ranieri co do tego niemiał żadnego materyalnego dowodu, jednakowoż był o tem moralnie, głęboko przekonany.

Ja zaś byłem również najpewniejszy, że ten człowiek nas prześladuje i dalej prześladować będzie bez litości i spoczynku. I rzeczywiście przez te parę dni, jakie spędziliśmy jeszcze razem, cudownym wprost sposobem uniknęliśmy niebezpieczeństwa podstępnie nastawionego nam przez niego. Niewiem dobrawdy co nas skłoniło do przyjęcia wśród tych ciężkich wstrząśnień moralnych, jakie przeżywaliśmy, zaproszenia Klary Loredano, wzywającego nas do przepędzenia wieczoru u niej. Zdaje się, że to przeznaczenie samo kierowało tem. Udałem się tam pierwszy o godzinie wpół do jedenastej. Hrabina mieszkała w jednej z małych willi w nowej dzielnicy Rzymu, w głębi ogrodu. Jedna tylko latarnia oświetlała ulicę, cały więc ogród tonął w zmroku. Zapukałem i furtka sama rozwarła się przedemną, w magiczny sposób, jak to bywa w domach czarodziejów. Przeszedłem aleję i wszedłem do obszernego przedpokoju, gdzie lokaj w liberyi, milczący, z uszanowaniem, odebrał odemnie płaszcz i kapelusz. Aż dotąd jak widzisz wszystko odbyło się dosyć banalnie, ale poczekaj trochę, przekonasz się, że to opowiadanie tak proste, zamieni się wkrótce w tragedyę.

Hrabina Klara Loredano jest piękną kobietą, za piękną nawet. Jest wytworna i kokietka. Kokietka zimna i wyrachowana. Stanowisko jej w świecie nie jest bardzo jasne. Przyjmuje u siebie tylko mężczyzn i kilka wybranych kobiet. Przyjmowana zaś bywa tylko rzadko i gdzieniegdzie. Jest bardzo bogata, ale nikt nie zna pochodzenia jej dochodów. Oficyalnie jest mężatką, lecz hrabiego Loredano nikt nigdy nie widział i nie słyszał o nim. Czy żyje, czy umarł, czy zniknął — kto to wiedzieć może? Otwarcie niema kochanków, ale wszyscy wiedzą, że nie jest kobietą trudną do zdobycia. Niekiedy znika z Rzymu na kilka tygodni i nie wiadomo gdzie przebywa i w jakim celu. Nagle zjawia się, nie wspominając nigdy o swoich podróżach.

Kto to jest? czy ja wiem. Awanturnica, szpieg, czy ekscentryczna kobieta? W każdym razie mam pewność, że jest wspólniczką „tego człowieka".

Przez cały ten fatalny wieczór odnosiła się do mnie nadzwyczajnie grzecznie. Z pewną przesadą nawet zagrała wobec mnie rolę wielkiej, światowej kokietki. Przyznam Ci się mój przyjacielu, że nie podobała mi się nadzwyczajnie. Myśl moja była przy „tamtej" — tajemniczej istocie o uciętej ręce. Lecz jestem mężczyzną, jestem młody i z temperamentem i pomimo mojej namiętności idealnej dla innej kobiety, byłbym nie odrzucił tytuł kochanka hrabiny Klary Loredano, gdyby ona była tego zechciała. A ona zdaje się, byłaby się na to zgodziła, ale nie zaraz, później trochę, z zachowaniem koniecznych form i względów. Awaturka więc ta nęcić mnie mogła — ale do pewnego stopnia. W czasie naszej rozmowy zjawił się Ranieri. Hrabina zaczęła drażnić go lekko, czyniąc aluzye do jego miłości opukierzającej go przed każdym flirtem. Lambertini odpowiadał jej napół żartem, napół seryo i wówczas spostrzegłem, że hrabina musiała kiedyś usiłować przyciągnąć go do siebie i że się jej ten zamiar nie udał.

Rozmowa następnie toczyła się ogólna, dowcipna i lekka.

Jednakże zauważyłem kilkakrotnie, że ze zbliżaniem się północy, hrabina zaczęła zdradzać pewne zaniepokojenie i roztargnienie. Siedziała lekko pobladła, z rozszerzonemi źrenicami, zdając się nadsłuchiwać czegoś. Po chwili jednak powracała do przytomności i podejmowała znowu rozmowę z wdziękiem sobie właściwym. Ukazywała nam przytem kokieteryjnie z pod sukni, stopę małą, wytworną, elegancką i uśmiechała się do nas czarująco, pokazując lśniące, białe zęby. Pomyślałem sobie wówczas w duchu, że za jakiś miesiąc czasu, byłaby z niej bardzo urocza i ponętna kochanka.

Pod koniec wieczoru, ku zdziwieniu mojemu dostrzegłem, po różnych znakach mi dawanych i wyzywających błyskach oczu, że pragnie, abym pozostał jeszcze u niej, po wyjściu Ranieri'ego. Spostrzeżenie to niemile na mnie podziałało. Nie zasługuję i nie chcę wcale zasłużyć sobie na miano skromnego, biblijnego Józefa, lecz zachowanie się jej wydało mi się nienaturalne, zanadto „robione". Pozatem, wiedziałem już teraz, że starała się bezowocnie usidlić mojego przyjaciela. Dlaczegóż więc tak nagle i niedwuznacznie zwracała się do mnie?

Zkąd ten dziwny przypadek, że zawsze o nas dwóch chodziło? Pozatem, co do mnie, w stosunku do kobiet, lubię sytuacye jasne. Kobieta uczciwa, niech pozostanie uczciwą — kokota, kokotą — awanturnica, awanturnicą. Te trzy sytuacye nie powinny się mieszać ze sobą. Niech każda działa otwarcie, stosownie do tego czem jest.

Kimże więc była ta hrabina Loredana, obdarzająca mnie tak jawnie swoimi względami?

W końcu, przestała zupełnie zwracać uwagę na Ranieriego i zajęła się wyłącznie moją osobą. Przyjaciel mój, który zrozumiał o co chodzi, obrzucił mnie znaczącem spojrzeniem i powstał, ażeby odejść. Dlaczego nie poszedłem za nim? Dlaczego nie oparłem się pięknym słówkom Klary Loredana? Dlaczego okazałem się tak naiwnym i słabym?

Kiedy Ranieri powstał, szepnęła mi prędko:

— Niech pan zostanie chwilę, mam panu coś do powiedzenia.

Co było robić? Zostałem. Było to jednak zaproszenie tak zuchwałe, że wydawało mi się bardzo nie na miejscu w ustach kobiety, uchodzącej za damę z towarzystwa.

Kiedy Ranieri przeszedł już próg salonu, hrabina westchnęła z ulgą:

— Ah! nareszcie! Poszedł sobie! —

A przecież ta kobieta nie oczekiwała nic odemnie, tak, jak to przypuszczałem — nawet tego, żebym noc tę jedną z nią przepędził. Nie zupełnie! Słowa moje gorętsze cokolwiek, przyjęte zostały z tym samym, czarującym uśmiechem, a kiedy przycisnąłem usta do ręki jej, poniżej łokcia, przybrała minę bardzo surową i odsunęła się odemnie. Ta zmiana, mój przyjacielu, wyobraź sobie, zaszła w przeciągu dziesięciu, dwunastu minut najwyżej. Kiedy zdziwiony, zapytałem ją, czy rzeczywiście ma mi coś do powiedzenia — odpowiedziała, że nie.

Odszedłem więc w nie bardzo dobrym humorze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staraczewskiej.

TOM II.

36

— Nienawidzieć! Nie, to nowość, to coś niezwykłego, to mnie podnieca, zajmuje.

— Pewną jesteś tego?

Przyszedł mu nagle na myśl jej salonik w Savoy. W jak zupełnie inne życie ją wprowadził, w życie, które lubił i które uważał za dobre. Lecz może to był egoizm. Starał się czytać z jej twarzy i nagle uczuł powątpiewanie i obawę.

— Lubię je, to pewna — dodał — lecz nie powinnaś się przymuszać, jeśli ci się nie podoba. My mężczyźni jesteśmy tacy samolubni.

Skorzystała ze sposobności.

— Czy nie wiesz, że kobieta znajduje swe szczęście w dogadzaniu mężczyźnie, którego kocha?

— Lecz ja pragnę tobie dogodzić!

— Będziesz mógł wkrótce to uczynić.

— Jakim sposobem?

— Zabierając mnie na Nil.

Wpoiła w niego wiarę, że żyje tylko dla niego. Postanowił się odwdzięczyć. Co tam praca? W tym pierwszym roku powinien myśleć przede wszystkiem o niej, powinien jej się poświęcić.

— Zabiorę cię na Nil — rzekł. Bądź zawsze ze mną szczerą, Ruby. Jeżeli coś się mnie podoba, a tobie nie, powiedz otwarcie. Znajduję, że jedna tylko szczerość spaja ludzi, jakby stalowymi gwoździami.

— Tak, lecz jestem zupełnie szczerą, kiedy mówię, że lubię żyć twojem życiem.

Mogła sobie teraz pozwolić na to potwierdzenie i pomimo wzrastającej pustki wkoło nich, serce jej zabiło nadzieją wybawienia. Wiedziała w jakim kierunku jego umysł pracował i słyszała już szmer wody Nilu u rudla dahabijeh.

Rozłożyli obóz w szczerem pustkowiu.

Wielkie jezioro Kurun, które wygląda jak wewnętrzne morze i jest prawie tak słone jak ono, leży w swej północnej części w objęciu innego morza, morza piasku. Rozległe skłony pustyni Libijskiej dotykają jego spokojnej wody. Pustka pustyni łączy się z pustką nigdy nie szemrzącego morza, i głębokie milczenie przestrzeni z milczeniem wód.

Nigdy przedtem Mrs. Armine nie widziała takiej pustki, nie wyobrażała sobie takiej ciszy, jak ta, która otaczała ich obóz, unosiła się nad pustynią, nad zielono szaremi wodami tego wielkiego, podobnego do morza, jeziora.

Kiedy się odzywała, zdawało się, że głos jej został przez tę ciszę schwycony. Zdawało się nawet, że ta cisza chwytała jej myśli i precz odrzucała, jako coś żywego, nie mającego prawa tutaj się znajdować. Czuła się nędzną, bezbronną, na jałowem łonie jak trąd bladej natury. Miała wrażenie, że wszystkie jej władze, jej namiętności i pragnienia zostały schwytane przez ciszę. Jezioro nigdy nie uczyniło na niej tak strasznego wrażenia.

Ukryła to uczucie przed Niglem. Pomimo zdrowia, które pobyt w Egipie jeszcze wzmocnił, była zmęczona długą jazdą na wielbłądzie. Zajęła się sobą, jak kobieta wracająca z podróży, zmieniła suknię, potarła czoło wodą kolońską, poprawiła włosy przed lustrem, przypiętem do płótna namiotu. Lecz przez cały ten czas słuchała tej niezwykłej ciszy, czuła ją jak ciężar, starała się wydostać z jej wyciągniętych ramion.

Z zewnątrz dochodziły ją głosy, lecz przedstawiały się jej uszom tak, jak cienie, szkielety widma przedstawiają się oczom. Czy to był rzeczywiście Ibrahim? Czy to Nigel rozmawiał, śmiał się? A ten pot k słów, czy płynął z ust Hanzy? Lub czy to były może cienie, z cieniami głosów, rozmawiające z cieniami? Lecz herbata została przygotowaną i wyszła z namiotu.

Znajdowali się dość daleko od jeziora, na lekkiej pochyłości olbrzymiego skłonu, który wznosił się za nimi stopniowo coraz wyżej, aż zdawał się dotykać niskiego, szarego horyzontu. Wszędzie białe z żółtawo białem łączyło się z szarem i z zielono szarem.

Jedyną roślinnością były tamaryszkowe zarośla, które się rozciągały na brzegu i wchodziły w wodę, tworząc gąszcz, w którym się gnieździły tysiące i tysiące kaczek. Teraz, nie przeczuwając niebezpieczeństwa latały w przestworzu, rzucając jakby aksamitne czarne plamy na cichą toń jeziora.

— Spojrzyj na te kaczki, Ruby! — rzekł Nigel. — Co za miejsce do polowania!

Role ich się zmieniły, on był praktycznym, podczas gdy ona uległa wyobraźni. Oglądał strzelby, umawiając się z wysokim, prawie czarnym tubylcem o cenę za pokazanie mu najlepszego stanowiska.

— Czy idziesz jeszcze dzisiaj — zapytała.

— Tak, może masz ochotę siąść na osła i odprowadzić mnie do jeziora?

Zawahała się. W tej pustce i ciszy nie czuła się prawie zdolną do postanowienia. Wreszcie rzekła:

— Nie; mam już dość na dzisiaj. Musisz mi przynieść kaczkę na obiad.

— Obiecuję.

Przed wyruszeniem ujął ją za obie ręce. Był pełen radości sportsmana, którego czeka przyjemność.

— Co będziesz czyniła do mego powrotu?

— Będę odpoczywała. Może wezmę się do czytania, lub będę rozmawiała z Ibrahimem, który mnie zawsze bawi.

— Dobrze. Pojadę na ośle i wezmę z sobą Hanzę.

Wsiadając na osła odwrócił się jeszcze i dodał:

— Ruby, mam teraz moją przyjemność. Ty będziesz także miała swoją. Będziesz miała najlepszy dahabijah, jaki można dostać na Nilu — Lonlię, jeżeli Barondi zechce ją wynająć.

— Oh, Lonlia kosztowałaby za drogo, nawet gdyby się zgodził.

— W każdym razie wynajmę dobrą łódź i zwiedzisz wszystkie świątynie, popłyniesz, aż do Halfy, i żeli zechcesz. A teraz z całych sił proś dla mnie o kaczki.

Pojechał w dół skłonu do jeziora i wkrótce on, Hanza i przewodnik stali się ruchomemi plamkami na bladnącej przestrzeni.

Mrs. Armine patrzała za nimi z rozkładanego fotelu, który kazała postawić Ibrahimowi na paręset yardów od obozu.

— Zostaw mnie tutaj na chwilę samą, Ibrahimie — rzekła.

Posłuchał i cofnąwszy się usiadł w kuczki, żeby pilnować.

Z początku Mrs. Armine nie myślała prawie wcale. Patrzała na piaszczyste skłony, piaszczystą równinę, piaszczyste wybrzeże, na gęstwinę tamaryszku, na szarą powierzchnię wód, na latające kaczki i ruszające się czarne plamki, które się do nich zbliżały. Czuła się — czem? Niczem. Przez długą chwilę miała to uczucie. A wiem stopniowo, stopniowo jej wewnętrzna istota zaczęła się budzić, zaczęła się otrząsać z czaru miejscowości, usiłując się wydostać z objęcia ciszy. Gorąco oburzenia oblało ją na chłodnem powietrzu pustyni.

Dlaczego pozwoliła się przywieźć chociażby tylko na parę dni do takiej miejscowości? Czy pragnęła kiedykolwiek widzieć miejscowość bardziej odludną od tej, z której przyjechali? Gdzie się obecnie znajdował Barondi? Co czuł, co czynił, o czem myślał? Ciągle, aż do tej pory żywiła przekonanie, że Barondi miał jakiś plan w stosunku do niej i że z jej strony potrzebnym był spokój i cierpliwość, ażeby ten plan mógł się urzeczywistnić, była pewną, że — nie wiedziała tylko w jaki sposób — spotka się z nim.

Teraz, po wyjściu ze stanu przygnębienia, wywołanego tem strasznem pustkowiem, zapywała się, czy się myliła. Barondi nie wspomniał jej nigdy o przyszłości, nie zdradził ani słówkiem, co o niej myślał. Czy dlatego, że nie miał żadnego planu? Czy się stała ofiarą swych własnych pragnień? Czy Barondi miał jej dość i skończył z nią? Coś, co było połączeniem próżności i czegoś innego jeszcze, szeptało jej zwykle, że tak nie jest. Lecz dzisiaj, w tej przeraźliwej szarości, w tej melancholii i chłodnej bladości nie mogła temu ufać. Odwróciła się:

— Ibrahim! Ibrahim! — zawołała.

Wstał i przybiegł do niej.

— Ibrahim — zaczęła.

Spojrzała na niego i milczała.

— Ibrahim — rzekła po chwili — czy wiesz, gdzie jest Barondi, co czyni obecnie?

— Co on czyni, nie wiem, my lady, Barondi, on czyni dużo rzeczy.

— Pragnę wiedzieć, co czyni? Muszę, chcę wiedzieć.

Czar miejscowości, czar niezmiernej, chłodnej ciszy prysnął. Mrs. Armine wstała. Traciła panowanie nad sobą. Patrzała w smutną przyszłość; pomyślała o Niglu zupełnie szczęśliwym; widziała go nawet w dole, czarną plameczkę na rozległej przestrzeni, dążącą do swej rozrywki i furya zemsty ją opanowała. Wydało się jej potwornem, że taka kobieta, jak ona, znajduje się w takiej miejscowości, w takiem położeniu, samotna, wśród piasków, opuszczona, bez zajęcia, bez nikogo, z kimby mogła porozmawiać, bez widoku rozrywki, bez widoku niczego. Jakiś głos zdawał się w niej krzyczeć — Nie zniosę tego, nie zniosę!

— Mam dość Fayum — rzekła gwałtownie — zupełnie dość. Chcę wrócić nad Nil. Czy wiesz, gdzie jest Barondi? Czy jest na Nilu? Niecierpię przeklinam to miejsce!

— My lady — rzekł bardzo łagodnie Ibrahim — tutaj jest doskonałe polowanie na szakale.

— Szakale, kaczki — nie myślisz o niczem, tylko o przyjemnościach twego pana! — zawołała z oburzeniem. Czy tobie się zdaje, że będę siedziała całymi dniami wśród piasków, nie mając nic do czynienia, nie widząc nikogo, podczas — podczas...

Urwała. Tchu jej zabrakło. Wybuch gniewu prawie ją obezwładnił. Gdyby Nigel znajdował się w tej chwili przy niej, byłaby nawet zdolną pokazać nawet jemu coś więcej ze swej prawdziwej natury. Ibrahim znów się łagodnie odezwał.

— My lady, ażeby polować na szakale, trzeba wyjść w nocy. Trzeba zejść tam, kiedy jest ciemno i czekać, aż szakal przyjdzie.

Patrzała na niego w zdumieniu. Co cała ta tyrada miała z nią wspólnego?... Ibrahim spotkał się z jej oczami.

— To wszystko jest bardzo zajmującem dla my lord Arminigel dodał.

Mrs. Armine nie odzywała się, lecz wciąż patrzała na Ibrahima.

— Może mój pan wyjdzie dzisiaj w nocy. Jeżeli wyjdzie, może pani zechce użyć małego spaceru z Ibrahimem?

Odwrócił się i wskazał po za sobą w dal, gdzie piaszczysty skłon zdawał się dotykać nieba.

— Przejedziemy się tam.

— Nic nie odpowiedziała. Nie pytała się o nic; nie potrzebowała się pytać. Pustka wokoło niej zdawała się naraz kwitnąć, jak róża. Zamiast końcem świata, to miejsce zdawało się być środkiem, gorącem sercem świata.

Kiedy się wreszcie odezwała, rzekła spokojnie:

— Twój pan pójdzie dzisiaj w nocy na szakale?

Ibrahim skłonił głową.

Z odległych tamaryszkowych zarośli obok zielono szarych wód, doleciał ich głuchy odgłos strzału.

— My lord Arminigel, on pójdzie na szakale dzisiaj w nocy.

II.

Tego wieczoru obiad w obozie był radosną ucztą. Nigel przyniósł dwie kaczki, Ibrahim rozłożył ogień z gałęzi dla rozgrzania zawołanego myśliwca, a Ruby była w wybornym humorze. Doskonale grała rolę dobrej gospodyni. Krzątała się wśród piasku doglądając wszystkiego. Zajrzała nawet z Ibrahimem do namiotu kucharza, żeby mu wydać wskazówki co do przyrządzenia kaczek.

— To są twoje wakacye — rzekła do Nigla. — Chciałabym, żeby były przyjemne. Powinieneś nie tracić czasu i polować jak najwięcej. Mówią, że jest dużo szakalów tam, w tamaryszkowych zaroślach. Czy pójdziesz na nie tej nocy?

Nigel wyciągnął nogi z westchnieniem zadowolenia.

— Nie wiem, Ruby. Chciałbym, lecz tak miło i wygodnie tutaj.

Spojrzał na ogień i znowu na nią.

— Wątpię, żebym jeszcze raz dzisiaj wychodził — rzekł.

— Pewnie jesteś zmęczony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

I pokazało się, że nie taki straszny dyabeł, jak go malują. Zdawało się, że jest to niechybnym znakiem co najmniej zbliżającego się końca świata, iż tegoroczne Święta Wielkanocne nie minęły zbyt pomyślnie, ostatecznie przecież doszliśmy do przekonania, że bez święconego według dawnych pojęć można się obejść zupełnie spokojnie i z tego powodu nikt jeszcze nie umarł, nawet taki osobnik, który przyzwyczajony był po inne lata „puszczać na kwostę" swą gębę w tym okresie. Obszedł kilka domów znajomych, aby się dowiedzieć, że „państwo wyjechali do Zakopanego", w jednym tylko, gdzie przez pomyłkę zostawiono drzwi otwarte, przyjęto go wprawdzie bardzo serdecznie, ale zupełnie na sucho, przepraszając, że tego roku nie urządzono święconego, gdyż była w projekcie podróż na wieś do krewnych. Nie doszła ona wprawdzie do skutku z powodu fatalnego zbiegu okoliczności, wyjazd nastąpi przecież lada dzień. Musiał się zatem biedaczysko pogodzić z losem i obejść smakiem, obiecując sobie, że odbije to w najbliższej przyszłości, niech się tylko konjunktury poprawią.

Paskarze wystąpili wprawdzie bardzo wystawnie, do ich stołu dopuszcza się przecież proletaryat niepaskującej inteligencyi bardzo niechętnie, aby swym zbiedzonym wyglądem nie psuli podniosłego nastroju wśród biesiadników, powtarzających za poetą: „To tylko nasze, co dziś zjemy i wypijemy...", gdyż nie wiedzą, co jutro przyniesie, czy się przed nimi nie otworzą gościnne podwoje gmachu św. Michała, lub „czwartego bastyonu", mającego przyjąć w przechowanie tych, dla których braknie miejsca pod skrzydłami byłego c. k. Patrona Galicyi i Lodomeryi.

Ten „czwarty bastyon" zajmie w historyi Krakowa niepoślednie miejsce. Dla naszych paskarzy jest on czemś podobnem, jak sławny „dziesiąty pawilon" cytadeli warszawskiej, dla biorących udział w życiu politycznem. Paskarze bawili się też między sobą, uczciwi siedzieli w domu, rozmyślając nad znikomościami tego świata i spożywając dary Boże, na których zakupno mogli sobie pozwolić.

Nie trzeba bowiem brać zbyt dosłownie powiedzenia, że tego roku musieliśmy się obejść bez szynek, kiełbas, bab, mazurków i t. p. Nie było ich, co prawda, tyle jak po inne lata, „gdy się nam gorzej wiodło...", na zupełny przecież brak świątecznego jedzenia narzekać nie można.

Przekonał się o tem kronikarz sam na sobie, a sprawiło mu to bardzo miłą niespodziankę. W niedzielę na stole kronikarskim pojawił się półmisek ze szynką i kiełbasą, znalazły się nawet i jajka, aby mieć przy czem wymienić życzenia, które bez nich nie miałyby ani ważności, ani powagi. Weronika przyznała się, że kredyt tysiąca marek, wyznaczony jej na aprowizacyę świąteczną, dozwolił jej zakupić kilo szynki i kilo kiełbasy, jajka i bochenek chleba. Drzwi, rzecz oczywista, zamknięto na klucz i zatrzask, przy każdym podejrzanym ruchu koło nich znikał półmisek w kredensie. Na szczęście „nikt się nie trafił", rodzina spożyła dary Boże w skupieniu ducha, nie dzieląc się z nikim, ale żałując, że tego było trochę za mało.

W dalszym ciągu pokazało się, że Weronika, dzięki oszczędnościom budżetowym z ostatnich miesięcy, mogła sobie pozwolić i na upieczenie babki (i to z rodzenkami!...), ciesząc się na samą myśl, jakie też „oczy" zrobią przyjaciółki ujrzawszy coś podobnego. Nie była to wprawdzie baba tego wzrostu i tuszy, jak te, które przed wojną zdobiły stół kronikarski, ale w każdym razie baba... Wyobrażaliśmy sobie, jakie wrażenie byłoby zrobiło pojawienie się jej na stole przy baranku wielkanocnym. Niestety, padł on niedawno ofiarą żarłoczności ludzkiej, słodząc, w braku innego cukru, żywot i herbatę.

Weronika spełniła zatem jedynie swe obowiązki, jako gospodyni domu, a że nie była pod tym względem chyba wyjątkiem, można przyjąć, że w pięćdziesięciu procent domach inteligencyi „nie paskującej", święcone, choć skromne, ale się znalazło, rozweselając nie tyle duszę, ile żołądek, na którego „skurczenie" w tym czasie był przygotowany prawie każdy z rozszerzonych Krakowian. Niespodzianka, zgotowana przez skrzętną gospodynię, była też nad wyraz przyjemną i dodawała otuchy, że przecież nie jest jeszcze najgorzej. Jak stwierdziliśmy w miejskim Urzędzie zdrowia, w tym czasie nikt w Krakowie z głodu nie umarł, „ruch umarłych" przedstawia się nawet pomyślniej, niż w innych okresach, a liczba zgłoszonych przypadłości żołądkowych redukuje się prawie do zera.

Niema zatem złego, coby na dobre nie wyszło (czasem wychodzi jednak na gorsze!... przyp. zecera). Tegoroczne Święta Wielkanocne nauczyły nas, że bez wspaniale zastawionego stołu można się obejść zupełnie spokojnie, że przestając na małem, nie obciąży się ani sumienia, ani żołądka, doprowadzenie zaś, zwłaszcza tego drugiego, do zwykłej równowagi, połączone jest obecnie z kosztami, przekraczającemi wytrzymałość naszej kieszeni.

Dały też tegoroczne Święta sposobność naszym paniom do pokazania, co to one, jeśli zechcą, potrafią zdziałać w poruczonym sobie zakresie. I dlatego kronikarz na ich cześć intonuje hymn pochwalny, który P. T. Czytelnicy raczą za nim, z miejsc powstawszy, z nabożeństwem powtarzać. Kto ma gospodarną i zapobiegliwą żonę, posiada skarb prawdziwy, kto jej dotąd nie ma, niech się czemprędzej żeni. Tym, którym czas nie pozwala na poszukiwania za tym skarbem, ułatwi kronikarz „uszczęśliwienie", wspominając na wszelki wypadek, że ma do pozbycia trzy córki, oczekujące na zjawienie się królewicza z bajki, który chciałby wstępnym bojem zdobyć ich serce i rękę... (z posagiem będzie trudniej, chyba, że „milionówka" dopisze...). Jako rodzone córki Weroniki, są one gospodarne i zapobiegliwe, kandydat do stanu małżeńskiego znajdzie zatem raj już na ziemi, ale niech się spieszy, by się „anioły" zbytnio nie zestarzały, no... i aby ich kto nie uprzedził, bo o gospodarną i zapobiegliwą żonę dziś trudno!... Jaką to przyjemność sprawi mu spożycie w roku przyszłym święconego już na własnych śmieciach, przy boku kochanej i kochającej żoneczki, która niewielkim stosunkowo kosztem cudów dokona, zadając kłam przysłowiu, że „z próżnego i Salomon nie naleje".

Pokazuje się jednak, że w kąt Salomon, choć był taki mądry, przed Weroniką i jej podobnemi!... Kto ma taką Weronikę, ten terno wygrał na loteryi życia...

Popołudnie pierwszego dnia Świąt trzeba było koniecznie spędzić „w Zakopanem", to jest niewystawiać nawet nosa na świat Boży, choć pogoda dopisała w zupełności. Ponieważ dzień ten, jako podwójne święto, musiał być poświęcony według ustawy próżniactwu, nie pozostawało nic innego, jak oddać się rozmyślaniom nad zagadnieniami politycznemi, które dziś każdemu zaprzątają głowę.

Na pierwszy plan wysunął się naturalnie plebiscyt na Górnym Śląsku, który jak nas zapewniają pisma codzienne, miał dla nas wypaść korzystnie, choć liczba głosów, oddana za Niemcami, jest bezwzględnie większą, niż za Polską. Tak zwany chłopski rozum a tym w chłopskiej Polsce kierować się należy, mówi zatem, że tak dobrze nie jest, jak się o tem pisze. I mimowoli przypomina się sprawa Gdańska. Pamiętamy dobrze owe entuzyastyczne głosy naszej prasy, że „Gdańsk jest nasz", że nikt go nam nie odbierze, nawet sam dyabeł, gdy tymczasem pokazało się w rezultacie, że stało się inaczej, gdyż stosunek jego do Polski, dzięki zarządzeniom Rady Najwyższej, jest tego rodzaju, iż nie zadowala nawet najskromniejszych, choć zupełnie usprawiedliwionych naszych roszczeń. Tak się podobało panu Lloydowi Georgeowi i tak się też stało. Polska wyszła, nie po raz pierwszy i, zdaje się, nie ostatni „z kwitkiem".

Wówczas odbył się też publiczny wiec w tej sprawie u stóp pomnika Jagiełły. Wygłoszono szereg entuzyastycznych przemówień na temat zwycięstwa słusznej sprawy i życzliwość Koalicyi dla narodu polskiego, gdy zaś się okazało, że radość ta była przedwczesną, pogodzono się z konieczności z przykrą rzeczywistością i pocieszano, że dalszy ciąg będzie już z pewnością dla nas pomyślniejszy.

Kolej przyszła na Śląsk Cieszyński, gdzie, jak ogólnie zapewniano, głosowanie plebiscytowe musi wypaść na naszą korzyść. Ale i tutaj czekał nas „kwitek". Sprawę cieszyńską załatwiono bez plebiscytu na korzyść Czechów. Zwyciężyli nasi „pobratymcy", nam na odczepne dostał się ogryzek, z którego kazano się cieszyć.

Powiedzieliśmy sobie jednak „do trzeciego razu sztuka". Nie powiodła się sprawa gdańska i cieszyńska, pocieszaliśmy się, że na Górnym Śląsku odniesiemy zwycięstwo, jakiego dotąd świat i Koalicya nie widzieli. Bruździł nam wprawdzie i tu Lloyd George, który widocznie bardzo Polskę kocha, skoro tak serdecznie zajmuje się jej losami, ale znów otuchy dodawała nadzieja, że „większy Pan Bóg, niż pan Rymsza"...

Rozpoczęto prace przygotowawcze do przeprowadzić się mającego plebiscytu, społeczeństwo polskie zdobyło się na daleko idące wysiłki, tymczasem rezultat nie odpowiedział oczekiwaniom. Niemcy zdobyli więcej głosów. Sprawę przynależności państwowej Górnego Śląska ma ostatecznie rozstrzygnąć Rada Najwyższa, która, jeśli się zgodzi na podział tego terytoryum między Polskę i Niemcy, dostanie się nam może jakiś ochłap, ale nie to, czego się spodziewaliśmy i co się nam zresztą zupełnie słusznie należy. Mimowoli nasuwa się pytanie, kto ponosi winę?... — Odpowiedź na to sama ciśnie się na usta, że winę musimy przypisać sobie sami, gdyż nie doceniliśmy sił przeciwnika i zbytnio ufaliśmy w zwycięstwo słusznej sprawy i sprawiedliwości, na którą zapatrujemy się z zupełnie odmiennego punktu widzenia, niż ci, od których zależy ostateczna decyzya. Nasza praca agitacyjna na terenie plebiscytowym nie musiała być zatem dość intenzywną, skoro taki osiągnęła rezultat. Nie brakło tam, rzecz oczywista, dzielnych działaczy, którzy wytężyli wszystkie swe siły, aby zwycięstwo przechylić na naszą stronę, było jednak dość i takich, o których wyraził się pewien złośliwy, iż „nadają się do rozdziału zupy ramfordzkiej", lub do wzięcia udziału w pracy komitetu mającego na celu zakupno sikawki dla straży ogniowej ochotniczej w Kłaju, a nie do agitacyi przedplebiscytowej i to wobec tak niebezpiecznego i z niczem nie liczącego się przeciwnika, jakimi są Niemcy". Jedni z nich mieli wprawdzie dobre chęci, ale one same nie wystarczą, drugim ich brakło, a poszli, gdyż im kazano, lub w nadziei dobrego wynagrodzenia. A jest to naszą starą i, jak się pokazuje, nieuleczalną chorobą, iż odpowiednich ludzi dobierać nie potrafimy, gdyż trudno przypuścić, aby ich pomiędzy nami zupełnie brakowało.

Po nadejściu do Krakowa pierwszych, bardzo pomyślnie brzmiących wiadomości o przebiegu plebiscytu na Górnym Śląsku, urządzono znów publiczny wiec u stóp pomnika Jagiełły i cieszono się zupełnie tak samo, jak wówczas, gdy rozchodziło się o Gdańsk.

Ale znów okazało się, że te objawy radości są conajmniej, przedwczesne, skoro, wobec wyniku głosowania, musimy czekać na rozstrzygnięcie przez Radę Najwyższą, mającą, jak się już wyżej rzekło, zupełnie inne, niż my, pojęcie o słuszności i sprawiedliwości, zwłaszcza zaś w kwestyach, w których w grę wchodzą jej własne interesy.

Wniosek zatem logiczny z tego, że pomnik Jagiełły nie ma szczęścia do politycznych wieców, że należy przeto unikać urządzania ich u jego stóp, o ile się zaś odbywają, przyjmować bardzo ostrożnie ich rezolucye. Mickiewicz ma pod tym względem bardziej ustaloną reputacyę.

Jakie będzie rozstrzygnięcie ostateczne Rady Najwyższej, powiedzieć trudno. Barometr sympatyi niemieckich opadł wprawdzie u Koalicyi w ostatnich czasach bardzo widocznie, Lloyd George oświadczył nawet, że Niemcy i w razie utraty Górnego Śląska są w stanie wywiązać się z przyjętych na się w traktacie wersalskim zobowiązań, któż jednak wie, co się może jeszcze stać „między ustami a brzegiem pucharu"... Kto się, jak my, na gorącem sparzył, i to już tyle razy, ten i na zimne dmucha, musimy więc być przygotowani na to, że znów względy wyższej polityki mogą wpłynąć na ostateczne rozstrzygnięcie nie po naszej myśli. A stanie się inaczej, co daj Boże, tem większa będzie dla nas radość, ale damy jej upust dopiero po ogłoszeniu wyroku. Przedwczesne radowanie się w razie niepomyślnego wyniku wygląda bardzo dziwnie i naraża cieszącego się na ośmieszenie w oczach innych.

Jak będzie, mimo to dziś już powiedzieć musimy, że zwycięstwo nasze na Górnym Śląsku nie odpowiedziało naszym nadziejom i oczekiwaniom, że nie jest zatem zwycięstwem, ale jednem więcej w szeregu niepowodzeń, jakie stały się naszym udziałem w tak krótkim stosunkowo okresie naszego samoistnego politycznego bytu.

Wobec ważności sprawy górnośląskiej przeszły prawie bez echa dwie, bardzo doniosłe mające dla nas znaczenie, sprawy: podpisanie pokoju w Rydze i uchwalenie przez Sejm Konstytucyi. Tę ostatnią obchodził wprawdzie Kraków manifestacyą, mającą stwierdzić radość społeczeństwa polskiego z powodu dokonanego faktu, ale tak mdłą i cichą, jak gdyby odbywała się jeszcze za bł. p. austryackich rządów, a Kraków obawiał się ściągnąć na siebie zarzut c. k. nielojalności...

Nie wesołe Święta, nie wesołe też i rozmyślania świąteczne. Daj Boże, aby po Świętach było weselej, aby nasze nadzieje nie urządziły nam *Prima Aprilis*...



Po plebiscycie: Delegat francuski jenerał Le Rond, przewodniczący Międzynarodowej Komisyi dla Górnego Śląska w Opolu.

Po plebiscycie.

W dniu 20 marca b. r. w Palmową Niedzielę odbył się na Górnym Śląsku plebiscyt, mający zadecydować ostatecznie o przynależności tej ziemi do Polski lub Niemiec. Do walki stanęły z jednej strony słuszna sprawa, z drugiej interes. Która zwycięży dowiemy się w niedalekiej już przyszłości z wyroku Rady Ambasadorów, której ma być przedłożonym wynik głosowania.

Walczące strony, przyznać trzeba, nie rozporządzały równemi siłami. My stanęliśmy ufni w słuszność naszej sprawy i zdobyliśmy się na daleko idące wysiłki, słabe jednak w porównaniu z potęgą przeciwnika, nie żałującego pieniędzy, nie cofającego się przed gwałtem i terrorem, a nadto cieszącego się poparciem niektórych sfer międzynarodowych. Poruszył też on wszelkie sprężyny, by nie wypuścić z swej drapieżnej ręki tego szmatu polskiej ziemi, którą uważa za swą własność i bezskutecznie nad jego wynarodowieniem pracował. O niemieckości Górnego Śląska zadecydowały obfite pokłady węgla i rozwinięty skutkiem tego przemysł. Lud górnośląski uważał się zawsze za polski i marzył o połączeniu się z resztą Ojczyzny.

Marzenia te miała ziścić porażka Niemiec w wojnie światowej. Górnego Śląska, dzięki różnym postronnym wpływom nie przyznano jednak Polsce bez zastrzeżeń, ale postanowiono zastosować tutaj zasadę samostanowienia narodu o swym losie. Następstwem tego był odbyty w dniu 20 marca b. r. plebiscyt. Do urny stanęli mieszkańcy Górnego Śląska, by wypowiedzieć swą wolę, którą uzależniono jeszcze od ostatecznej decyzyi Rady Ambasadorów. O ważności jaką Niemcy przywiązują do posiadania Górnego Śląska, najlepiej świadczy cały aparat agitacyjny, jaki tu rozwinięto. Nie cofnięto się przed niczem, na kartę rzucono setki milionów marek, rozpostarto całą sieć intryg dyplomatycznych, nie zapomniano o gwałcie i terorze, jaki w niektórych zwłaszcza okolicach, gdzie Niemcy czuli się silniejsi, stosowano wobec Górnoślązaków. A nie trzeba zapominać i o tem, że ludność Górnego Śląska o ile jest tubylczą, jest rdzennie polską, niemiecki żywioł jest jedynie napływowy, stworzony drogą osławionej kolonizacyi przez całe rzesze nie-



Po plebiscycie: Zamek piastowski w Opolu siedziba Międzynarodowej Komisyi.

mieckich urzędników. W miastach zatem przeważa żywioł niemiecki, ludność wiejska i robotnicza jest szczerze polską i nie uległa germanizacyi, choć przeprowadzono ją z całą bezwzględnością w myśl pruskiej dewizy: „Siła przed prawem i słusznością".

W tych warunkach, byli zatem Niemcy, o ile to dotyczy miast górnośląskich, pewni siebie, niepokój budziły jednak gminy wiejskie i rzesze robotnicze centrów przemysłowych, rekrutujące się z pomiędzy polskich mieszkańców Górnego Śląska.

W tę stronę skierowano zatem cały nacisk środków agitacyjnych, sprzeciwiających się najprymitywniejszem zasadom etyki. Jaką bronią walczono, wiemy o tem z doniesień dzienników donoszących codziennie wiadomości o gwałtach pruskich dokonywanych na bezbronnej ludności. Szafowano hojnie pieniądzmi, których Berlin nie żałował, szkalowano Polskę w najohydniejszy sposób, przedstawiając co czeka Ślązaków po przyłączeniu do niej, obiecywano złote góry i najdalej idące swobody, a gdy to nie skutkowało, gdyż Górnoślązak znał dobrze wartość obietnic niemieckich, uciekano się do ręcznych granatów, rewolwerów, napadów hotelowych, demontowania budynków. Ale i to nie pomogło. Górnoślązak twardy z natury, a wychowany do tego w pruskiej szkole z uporem powtarzał: „Nie!.. Jestem Polakiem, jakim był mój dziad i ojciec i moje dzieci będą też Polakami!.." I dowód tej polskości złożył przy urnie plebiscytowej. Jak wiemy z telegramów wynik głosowania wykazał nieznaczną wprawdzie liczebną przewagę na rzecz Polski, jeżeli się jednak uwzględni poszczególne gminy, dochodzi się do przekonania, że Górny Śląsk jest rdzennie polski, a tę pokaźną liczbę Niemców, jaką wykazało głosowanie, tworzy ludność miast i również jak ona napływowi przyjaciele Prusaków. Czesi, zapewne w myśl idei „braterstwo Słowian" oddali głosy swe Niemcom, żydzi głosowali za nimi dla zamanifestowania swej „neutralności".

O ile zatem rozchodzi się o lud górnośląski, to zupełnie niedwuznacznie wypowiedział on swą wolę, skoro prawie dziewięćdziesiąt procent gmin wiejskich w okręgu przemysłowym i górniczym po prawym brzegu Odry wypowiedziało się za Polską, a jedynie w miastach mieli Niemcy znaczną przewagę.

Możemy zatem powiedzieć, że na Górnym Śląsku odnieśliśmy zwycięstwo, choć może nie takie, jakiego się spodziewaliśmy. Górny Śląsk zadecydował, że jest polski i że chce nim zostać.

Jeżeli zatem zasadę samostanowienia narodu o swym losie miało się stosować w myśl intencyi jej twórców, Górny Śląsk bez zastrzeżeń powinien przypaść Polsce, bo tak każe słuszność i sprawiedliwość. Ale, że tu wchodzi w grę i interes, który się dziś ogólnie tak respektuje, z napręże niem oczekujemy ostatecznego wyniku Rady Ambasadorów, nie tracąc nadziei, że ci, którzy zasadę samostanowienia narodów o swym losie do życia powołali, nie zechcą jej sami gwałcić i ośmieszać. W najgorszym razie zostanie Górny Śląsk według zapewnień prasy koalicyjnej podzielony, przyczem uwzględnioną ma być tak zwana „linia Korfantego".



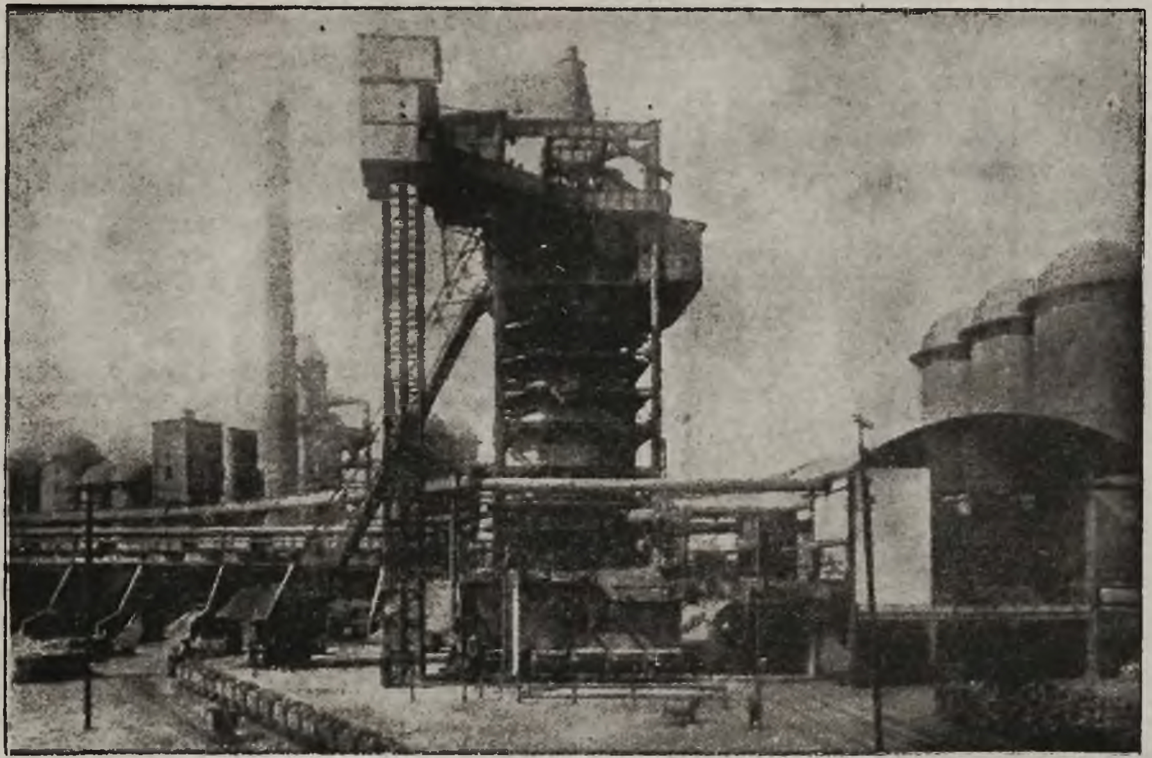
Po plebiscycie. Przemówienie podczas wiecu manifestacyjnego w Krakowie u stóp pomnika Jagiełły.

Wiadomość o wyniku głosowania na Górnym Śląsku, przyjęto w całym kraju z entuzyazmem, choć pewne zaniepokojenie budzi ów oczekiwany ostateczny wyrok w tej sprawie Rady Ambasadorów, a to z racyi, że dziś interes wziął stanowczo górę nad słusznością. Po przeciwnej stronie wchodzi zaś w grę głównie ów przemożny dziś, interes, po naszej jedynie słuszność.

Przebieg głosowania z wyjątkiem tu i ówdzie wywołanych przez Niemców gwałtów i teroru, był stosunkowo spokojny, nie wyklucza to przecież, że w razie nie przychylnej dla Niemiec decyzyi Koalicyi, może się stać Górny Śląsk widownią krwawych zamieszek, do czego się Niemcy przygotowują bardzo energicznie i bynajmniej się z tem nie kryją, że



Po plebiscycie: Wiec manifestacyjny w Krakowie po ogłoszeniu pierwszych wyników plebiscytu na Górnym Śląsku odbyty w dniu 22 marca b. r.



Po plebiscycie: „Huta-Bismarka" jedno z głównych centr okręgu przemysłowego na Górnym Śląsku.

w danym wypadku z bronią w ręku dochodzić będą „swych praw" do tego polskiego kawałka ziemi.

Z okazyi plebiscytu odbył się w całej Polsce szereg podniosłych manifestacyj narodowych.

Oficerski zespół artystyczny.

(Do illustracyi na stronie 4.).

Praca kulturalna i oświatowa w szeregach naszej armii, rozwija się coraz pomyślniej. Przekonano się, że żołnierz pod względem swej sprawności bojowej nic na tem nie traci, owszem, zyskuje bardzo wiele, jeśli dba się także o rozwój jego ducha, że nie wystarczy dlań samo militarne wykształcenie. Dzięki staremu systemowi, lekceważono stale potrzeby duchowe żołnierza, którego starano się zasklepić w czterech ścianach izby koszarowej, odzielając go zupełnie od reszty społeczeństwa. A jest on przecież tylko człowiekiem, przyjdzie i nań czas zrzucenia munduru i przepoczwarczenia się w „cywila". Wchodzi wtedy w życie, zupełnie dla siebie nieznane, czuje obco i nieswojo i długie lata upłyną nim się potrafi zastosować do nowych stosunków. Pracy nad uświadomieniem żołnierza, że jest on także i obywatelem, przyklasnąć zatem należy i z radością powitać każdy nowy jej objaw.

Praca ta podjętą została w naszej armii bardzo racyonalnie i systematycznie. Dokłada się wszelkich starań, aby żołnierz nabył nietylko zawodowych wiadomości, ale pozyskał także wykształcenie ogólne, które ułatwiłoby mu oryentowanie się w kwestyach społecznych. Nie zaniedbuje się także dania sposobności do znalezienia godziwej rozrywki, mogącej rozjaśnić i rozweselić monotonię jego życia. Urządza się zatem dla żołnierzy odczyty i pogadanki, koncerty i widowiska teatralne, w których biorą udział tak oficerowie jak i żołnierze. Dyscyplina wojskowa, jak się okazało, nic na tem nie traci, między przełożonym a podwładnym wytwarza się w ten sposób bardzo harmonijne współżycie.

Do rzędu przedsięwzięć, mających na celu rozwój życia kulturalnego w szeregach, należy krakowski zespół artystyczny oficerski, złożony z wybitnych sił, który obrał sobie za zadanie dawanie koncertów dla żołnierza i na rzecz żołnierza. W skład jego wchodzą p. p.: Nowotarski (baryton), Cichoń



Po plebiscycie: Zakłady przemysłowe w Chorzewicach pod Katowicami.

(tenor), Skawiński (baryton), Michalski (bas) i akompaniatorka p. Cichoniowa.

Zespół ten urządził w ostatnich czasach cały szereg udatnych koncertów, między innemi 24 stycznia w Oświęcimiu, 26 lutego w Wadowicach, 5 marca w Krakowie w Teatrze imienia Słowackiego, 19 marca w Niepołomicach, 20 marca ponownie w Oświęcimiu, a 22 marca w Szpitalu wojskowym nr. 1 w Krakowie. Produkcye te spotkały się z zasłużonem uznaniem licznie zebranej publiczności żądnej duchowej rozrywki i osiągnęły pokaźny rezultat finansowy, który obrócony został na cele plebiscytowe, Uniwersytetów żołnierskich oraz na święcone dla żołnierza w polu.

Praca oświatowo-kulturalna we wojsku zyskała w tym zespole, złożonym z oficerów, a więc bezpośrednich wychowawców żołnierzy, bardzo poważny i zdrowy czynnik dla swych celów.

Ze sportu.

Match „Cracovia"—„Bielsko".

W niedzielę dnia 20 marca b. r. odbyło się spotkanie rywalizujących ze sobą drużyn „Cracovia"—„Bielsko" na boisku „Cracovii".

„Cracovia" już w pierwszym momencie opanowała sytuacyę, czego wynikiem, iż w 6 tej minucie Kogut uzyskuje punkt pierwszy. Gra toczy się przeważnie na stronie Bielszczan. Nie długo potem, bo w 17-tej min. Kałuża bajecznym rzutem pakuje piłkę do bramki.

Bielszczanie dopuszczeni do nielicznych ataków, któreby mogły zagrażać „Cracovii", uwieńczają swą grą w 26-tej min. jednym goalem.

Atak „Cracovii" zaczyna pracować i w 33 ciej min, Kogut ślicznym strzałem zdobywa punkt trzeci, w 3 min. później Kałuża z podania Koguta w spaniałem przebiciem się przez obronę zdobywa punkt czwarty, a w 29 tej min. Kotapka zdobywa jeszcze jeden punkt dla swych barw.

Po pauzie uwidoczniło się pewne zmęczenie na Bielszczanach. „Cracovia" dalej pracuje intenzywnie i już w 5-tej min. Kotapka zdobywa punkt szósty w 2 min. później punkt siódmy, a w 44 tej min punkt ósmy, który koronuje zwycięstwo „Cracovii"

„Cracovia" tym razem grała dobrze.

Bielszczanie nie przedstawiali się tak groźnie jak przypuszczać należało. Ograniczali się przeważnie do samoobrony, kilka przeprowadzonych ataków nie uwieńczyły pożądane rezultaty.



Po plebiscycie: Ogólny widok „Huty Królewskiej" głównego środowiska ruchu kopalnianego na Górnym Śląsku.



Match Cracovia—Bielsko: Drużyna Bielszczan.

Po skończeniu matchu pierwszego, stanęły do zawodów

„20. p. p.“—„Cracovia II.“.

Dwudziestacy posiadają w swym składzie graczy „Cracovii I.“, jak również „Wisły“ z Rejmanem w ataku.

Siły tych klubów, jak zauważyliśmy są jednakowe. Gra z początku była dość interesująca, jak również wesoła, publiczność darzyła graczy salwami śmiechu, a echo tychże roznosiło się daleko poza plac igrzysk.

„Cracovia“ nie długo po rozpoczęciu uzyskuje punkt pierwszy, który to wynik pozostaje do pauzy.

„20. p. p.“ po licznie przeprowadzonych atakach uzyskuje punkt pierwszy, a niedługo potem drugi i trzeci.

„Cracovia“ zdobywa jeszcze jeden punkt, a mała dyspozycya czasu nie pozwala jej do odwetu.

* * *

W niedzielę dnia 27 i w poniedziałek dnia 28 marca b. r. rozegrała krak. „Wisła“ match footballowy z lwowską drużyną „Pogoń“, wygrywając w pierwszym dniu w stosunku 2:1, a w drugim dniu przegrywając w stosunku 0:1.

Z drużyny lwowskiej wyróżniał się na pierwszem miejscu, środkowy ataku p. Wacek Kuchar.

* * *

„Cracovia“ urządza w dniach 3 i 4 kwietnia b.r. turniej, który będzie senzacyą dnia, biorą w nim udział Bielszczanie jakoteż i Górnoślązacy.

Zwycięzca otrzyma honorowy puhar. *Ezdo.*



Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożyła M. Kalinowska, Zakopane

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwę jednej z naszych ekonomicznych bolączek:

```
    ■
  — ■ —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
— — ■ — —
  — ■ —
    ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska, 2. Rzeka na Śląsku, 3. Imię męskie, 4. Miasto w Galicyi wschodniej, 5. Miasto na Litwie, 6. Rodzaj gleby, 7. Miasto w Rosyi, 8. Część budynku, 9. Zdrobniałe imię męskie, 10. Członek najbliższej rodziny, 11. Samogłoska.

Łamigłówka literacka.

Ułożył K. L., Warszawa.

Odgadnąć tytuły utworów podanych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą pseudonim polskiego poety:

Kraszewski ?
Bałucki ?
Sienkiewicz ?
Kochanowski ?

Grzebieniówka.

Ułożył A. R., Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda coś, co zajmuje obecnie naszą ogólną uwagę:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Port nad Adryatykiem, 2. Rzeka w Hiszpanii, 3. Wyżyna w Azyi, 4. Rzeka na Węgrzech, 5. Miasto w Rosyi.

Okienko.

Ułożył S. K., Biała.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a a e e e
e   k   k
n p p r r
r   s   s
s t t y y
```

Znaczenie wyrazów: 1. Polski malarz, 2. Miejscowość pamiętna z obecnej wojny światowej, 3. Pierwiastek.

Kwadrat magiczny.

Ułożył R. Zielski, Lwów.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

```
a, a, g, g,
k, k, o, o,
r, r, r, t,
t, y, y, y.
```

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto nad Bałtykiem, 2. Hrabstwo w Anglii, 3. Inaczej ostre powietrze, 4. Części utworu dramatycznego.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) H. Sienkiewicza „Listy z Ameryki“ (2 tomy); 2) Kalendarz familijny na r. 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 12.

Zadanie do uzupełnienia: Jawa, Apis, noga, kora, opal, cyna, hora, agat, Numa, ogar, woda, Soła, kula, Igor.

Grzebieniówka: Hora, e, rota, b, emir, r, toga, H, opal, o, veto, e, ropa.

Zagadka literacka: Wiesław, Irydion, Ostatni z Siekierzyńskich, Spekulant, Na srebrnym globie, Anhelli.

Rebus: Przewaga rozsądku nad namiętnością przynosi każdemu zaszczyt.

Trójkąt magiczny: Simona, Indye, mila, ort, ni, s.

Kryształówka: Lesbos, Konrad, Landru, Tondos, Grecya, Tonkin.

Przysłowiówka: Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Zurakowska Warszawa, Z. Zawadzki Wadowice, J. Jabłoński Lublin, J. Martynowicz Kraków, J. Bielawski Rzeszów, S. Piekarski Poznań, S. Zajączkowski Poznań, S. Sokołowski Lwów, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Sygowska Rzeszów, S. Grabowski Wadowice, H. Walewska Kraków, M. Wysocka Jasło, J. Opolski Łódź, M. Ogibińska Nowy Sącz, K. Dębiński Jasło, H. Zamocka Stanisławów, W. Witowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, S. Sadowski Warszawa, S. Kowalski Warszawa, J. Wierzbicki Piotrków, S. Zajączkowski Rzeszów, W. Rozwadowski Poznań, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, K. Zborowski Lwów, S. Balicki Radom, W. Raczyński Kraków, T. Cisowski Zakopane, W. Śmieszek Lublin, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, S. Kowal Warszawa, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Michalczyk Poznań, M. Brandys Kraków.

Nagrody przez losowanie otrzymali: M. Żurakowska, Warszawa (książka), 2) T. Cisowski, Zakopane (kalendarz). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.